Nr. 25. Kraków, dnia 20 Czerwca 1909. Rok XII.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratów „Obrony Ludu" jest otwarte codziennie rano i popołudniu ulica Pijarska 13.

Redakcya i administracya znajdują się w Krakowie, ul. Pijarska 13.

OBRONA LUDU

Wychodzi w każdą Niedzielę.

Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Pochwalony Jezus Chrystus!

Ogłoszenia po halerzu od wiersza petitowego w jednej szpalcie.

Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem Administracya „OBRONY LUDU" KRAKÓW ul. Pijarska 13.

Kosztuje: W Galicyi i całych Austro-Węgrzech rocznie 4 korony (2 złr.), do cesarstwa niemieckiego 4 marki, do Ameryki 2 dolary, do Rumunii, Danii, Anglii i innych państw europejskich 5 koron. — Numer pojedynczy 10 halerzy (5 centów).

Należytość płaci się z góry rocznie lub półrocznie.

Solidarność.

Myśl do napisania niniejszego artykułu podsunęły nam dokonane na dniu 11 czerwca wybory do Rady powiatowej w Krakowskim powiecie. Sprawa ta na pozor obchodzi niby tylko jeden powiat, ale właściwie ma ona szersze, ogólne znaczenie, bo podobne stosunki zachodzą we wszystkich powiatach naszego kraju.

Przez cały szereg lat, bo przez 18, w powiecie Krakowskim, obronę interesów włościan tego powiatu pochwyciła w swe ręce klika złożona z kilku włościan. Klika rozrastała w znaczenie, wzrastała we wpływy a równocześnie porastała i w pierze, bo klika pamiętała przedewszystkiem o sobie, o swoich interesach. Lud szemrał, narzekał, oburzał się na swoich w chłopskich sukmanach »opiekunów« i odgrażał się słowami: »niechno tylko przyjdą wybory, to my im pokażemy«! Wybory przyszły i »opiekuńcza klika« znów została wybrana na rajców powiatowych, chociaż tylko miała znikomą mniejszość za sobą. Jakże się to działo? Odpowiedź na to pytanie daje słówko »solidarność«. Słowo »solidarność« jest obcym wyrazem, który się jednak przyjął w naszej mowie i odpowiada polskiemu wyrazowi »łączność«. »Solidarność, czyli łączność daje władzę i potęgę. Solidarność złączona z wytrwałością prowadzi zawsze do zamierzonego celu, wieńcząc solidarną pracę pomyślnym wynikiem.

Jak z jednej strony brakiem solidarności szlachty runęła potęga Polski, tak z drugiej strony solidarnością w postępowaniu garstka szlachty dziesiątki lat dzierżyła niepodzielnie w swych rękach władzę. Lud był rozbity, szlachta solidarna i tą solidarnością zwyciężała, starając się nader sprytnie i umiejętnie o utrzymanie rozbicia w milionowych masach ludu.

I jeżeli większość krzywdzona i poniewierana przez rządy mniejszości, tych rządów pozbyć się nie może, to tylko dlatego, że większość jest rozbita na pojedyncze garstki, nie mogące choćby przy największych wytężeniach i najlepszych chęciach zwyciężyć, a mniejszość idzie kupą zbita, solidarna i zwycięża i rządzi, drwiąc sobie z rozbitej większości. Tak właśnie działo się w powiecie Krakowskim. Klika z paru włościan, stańczyków w chłopskich sukmanach, popierana przez mniejszość ze wschodniej części powiatu, rządziła źle i krzywdziła większość. Przy wyborach mniejszość zwyciężała, bo szła solidarnie, kupą a rozgoryczona większość przegrywała, bo do wyborów szła rozbita. Przytem sprytna i przebiegła klika chłopskich stańczyków, by utrzymać większość w rozbiciu, wybierała parę jednostek z większości, mających pewne znaczenie u swoich, stawiała ich z szyderczym uśmiechem na swoją listę, wiedząc, że im ten ogon dobrany z większości w niczem nie zaszkodzi i tym sprytnym choć podstępnym sposobem chłopska stańczykierya zwyciężała

Przy tegorocznych wyborach klika rządząca uchwyciła się również tego wypróbowanego środka pewna swego zwycięstwa. Wprawdzie zdołała pozyskać dla siebie kilka jednostek z większości, to jednak nie zdołało uchronić kliki od klapy i dotkliwej klęski. Zbałamucone jednostki, piorunujące przedtem na nadużycia chłopskiej stańczykieryi poszły za znienawidzoną kliką w nadziei uzyskania godności radcy powiatowego przy pomocy kliki, jednak oderwanymi głosami z większości od upadku kliki, nie uratowali a sami się tylko zblamowali. Tym razem rozgoryczona większość szła solidarnie pod hasłem: »precz z wyzyskiwaczami«, i odniosła świetne zwycięstwo, a byłoby to zwycięstwo jeszcze świetniejsze, gdyby tych kilku włościan z większości było szło solidarnie i niedało się uwieść niecnemi obietnicami kliki Chwała Bogu uczciwość odniosła tryumf. Z wyniku wyborów do Rady powiatowej cieszy się cały powiat Krakowski.

Na krecią robotę pokonanej kliki chłopskiej stańczykieryi większość powinna być przygotowaną To jednak większości posłuży tylko do wyrazistszego zorganizowania się i zespolenia i do większej solidarności i wytrwałości w pracy. Zwycięstwo uczciwych włościan w powiecie Krakowskim nad wyzyskiwaczami, krzykaczami i stańczykami w chłopskich sukmanach, powinno zachęcająco i na inne powiaty podziałać.

Jak potężnym czynnikiem jest solidarność, daje się to najlepiej widzieć na narodzie żydowskim. Żydzi tylko solidarnością zdobywają coraz większą władzę i coraz wieksze wpływy w naszym kraju. Co żydzi uchwalą pomiędzy sobą, tego się ściśle trzymają, my uchwalamy, a potem co innego robimy. Czem jest solidarność, uczą nas także robotnicy. Do niedawna rozbici nie mieli w społeczeństwie żadnego znaczenia. Dzisiaj solidarnością w postępowaniu zdobywają coraz większe i coraz korzystniejsze dla siebie prawa. Solidarność zapewnia nietylko władzę i potęgę ale prowadzi i do dobrobytu

Jan M., wyborca.

Na Wulkanie.

Dwa fakty, które podaliśmy do wiadomości w kronice poprzedniego numeru naszym Czytelnikom, zbiegające się ze sobą co do czasu, bo oba zaszły tego samego dnia w sobotę 5/VI. obudzić muszą w człowieku choćby tylko trochę myślącym poważne obawy co do naszego bytu, — i społecznego życia. Niespodzianie całkiem wybuchły niby wulkan palne materyały, moralnie i materyalnie niosąc społeczeństwu szkodę.

Najpierw zastanówmy się nad szkodami wynikłemi z tego demoralizującego wybuchu jakim była śmierć ś. p. Dra Lewickiego. Niemal wszystkie poszlaki wskazują na to, że ten zdolny, ogromnie utalentowany człowiek padł ofiarą morderstwa. Pogłoski takie mogą się wprawdzie okazać mylnemi, ale choćby nawet ten fakt wyłączyć za nawias, to jeszcze pozostanie cała góra dowodów, że jakieś niezdrowe soki dostały się do naszego organizmu i toczą go powoli, nurtują i szerzą gangrenę moralną. Anarchją i rozkładem moralnym dotknięta Rosya, zaraziwszy tą potworną chorobą naszych braz za kordonu rozpuszcza szpiegów, bandytów, ajentów i wszelkiego rodzaju zbrodniarzy w nasze rubieże, aby nam toczyły żywe ciało i podgryzały moralny byt. Choćby Borowska, która popełniła tak potworną zbrodnię jak morderstwo Dra Lewickiego, nie była agentem rosyjskiej ochrany, choćby się tego mordu niedopuściła, to jednak obudzić musi samo posądzenie jej o te czyny, czujność społeczeństwa. Zesumowawszy bowiem niebywałe u nas dawniej napady, morderstwa, kradzieże, defraudacye itd., które się tak często w ostatnich czasach powtarzać poczęły, dochodzi się do przekonania, że na wzrost liczebny tych zbrodni oddziałał tylko napływ rozmaitych ciemnych indywiduów, szumowin rozmaitego gatunku, którym albo pobyt w granicach rosyjskiego cesarstwa stał się zbyt niebezpieczny, albo których samo to cesarstwo w celach podziemnej a podłej roboty do nas wysłało. Nie mówi się o wielu rzeczach głośno, nie szepcze się ich nawet do ucha swoim najbliższym, ale niektóre fakta budzą wprost trwogę i przerażają swoją potwornością, cóż kiedy sprawiedliwość ludzka potrzebuje nie zbitych dowodów, a głębie serc ludzi zna tylko Bóg jeden.

Jeżeli zatem poważne głosy dowodzące, że Borowska była szpiegiem rosyjskim, okażą się uzasadnione, jeżeli śledztwo sądowe udowodni niezbicie dokonanego morderstwa na osobie Dra Lewickiego, to się w jaskrawy sposób ujawni, jak straszne skutki sprowadza system rządzenia rosyjskich czynowników w Królestwie Polskim, a z drugiej strony, jak wielką czujność powinny rozwinąć nie tylko władze, ale i społeczeństwo samo, by rychło zabezpieczyć się przed rozbójniczemi napadami zdemoralizowanych jednostek nachodzących nas z Król. Polsk. gdyż siedzimy na wulkanie, który kto wie kiedy i z jaką siłą wybuchnąć może.

Istotnie jestto wulkan straszny zarówno swoją siłą jak nieobliczonymi szkodami jakie w duszy narodu może wyrządzić, ale jest jeszcze po całym kraju rozrzucona, a gdzie niegdzie gęsto nagromadzona liczba małych, a jednak bardzo dla materyalnego bytu niebezpiecznych wulkanów, jak o tem świadczy niedawna eksplozya magazynów wojskowych z amunicyą w Woli Duchackiej.

Ileż to miliardów pochłania rocznie ten nigdy niesyty smok militaryzmu, miliardów wyciśniętych śrubą podatkową wraz z krwią i łzami ludu przez rząd! Gdybyż połowa tego grosza poszła na piekące sprawy krajowe jak regulacya rzek, budowa dróg i kanałów, oświatę i poprawę doli pracowników, toćby za parę lat z tej krainy „nędzy płaczu i mozołu“ uczynił się nowy Eden, w którym, jak w biblijnym raju, mogły najdziksze bestye, najsprzeczniejsze stronnictwa i najbardziej goli ludzie pędzić w zgodzie i miłości błogosławiony żywot. Przyszedłby dostatek chleba i zarobku, a za niemi dobrobyt i równowaga moralna, przyszłaby oświata i zrozumienie obowiązków, a z nimi solidarność i siła. Ale militaryzm nie tylko chłonie co roku ogromne sumy, nie tylko wybiera w postaci rekruta żywy podatek krwi, lecz tu pokazuje się jak lekkomyślnie inżynierja wojskowa budowała składy dla materyałów wybuchowych w pobliżu miast i wiosek, bo po całym kraju, a w bliskości większych miast szczególnie rozrzucona jest cała masa prochowni, składów amunicyi, bomb szrapneli, granatów i jak się tam jeszcze te inne narzędzia do „godziwego“ mordowania bliźnich nazywają, a przepisy obowiązujące co do ostrożności, co do bezpieczeństwa otoczenia, albo całkiem nie są przestrzegane, albo tak niedbale i powierzchownie, że z tego wynikają jak w wypadku na Woli Duchackiej nieobliczone szkody. Dopiero trzeba ogromnego nieszczęścia aby nawoływania i ostrzeżenia „cywilów“ zyskały u władz wojskowych uzasadnienie.

Cudowi tylko należy przypisać, że nie eksplodowały inne w pobliżu się znajdujące magazyny, również pełne municyi, i że tak mało stosunkowo było ofiar w ludziach. Pominąwszy już to, że gromochrony, (stalowe na końcu pozłacane pręty ustawione na dachu a połączone drutem z ziemią) nie były podobno w należytym stanie, bo je widocznie rdza czy wpływy atmosferyczne popsuły, to jeszcze większym błędem jest budowanie tego ro-

---

Krzyżacka mać.

Opowiadanie historyczne podług powieści Sienkiewicza p. t. Krzyżacy.

(Ciąg dalszy).

II.

Zbyszko, posłyszawszy nieszczęsną nowinę, nie pytając nawet o pozwolenie księcia, skoczył do stajen i kazał konie siodłać. Czech, który jako szlachetnie urodzony giermek znajdował się na sali, zaledwie zdołał wrócić do izby i przynieść ciepłą lisiurę; Siadłszy na drugiego konia, pochwycił jeszcze w bramie od odźwiernego kilka pochodni, i wnet ruszyli razem z książęcymi ludźmi. Za bramą ogarnęły ich nieprzebite ciemności.

Pan de Lorche, który jechał obok Zbyszka, jął go pocieszać, mówiąc, że niezawodnie Jurand w chwili niebezpieczeństwa myślał przedewszystkiem o ocaleniu córki.

Młody rycerz wysunął się naprzód i począł pytać:

— Czemu zbaczamy?

— Bo ich nie na gościńcu zasypało jeno tam hen! Widzicie, panie, ten olszniak?

To rzekłszy, ukazał ręką ciemniejące w dali zarośla, które można było dojrzeć na białej płaszczyźnie śniegowej, gdyż chmury odsłoniły tarczę księżyca, i noc stała się widna.

— Widać zjechali z gościńca.

— Zjechali z gościńca i jeździli w kółko wedle rzeki. W czasie zawiei i zadymki łatwo się taka rzecz przygodzi. Jeździli i jeździli póki konie nie ustały.

— Jakożeście ich znaleźli?

— Pies doprowadził.

— W pobliżu niema jakiś chat?

— Są, ale po tamtej stronie rzeki. Tu zaraz Wkra.

— W konie! — zawołał Zbyszko.

Ale rozkazać było łatwiej, niż rozkaz wykonać, bo j kkolwiek brał ostry mróz, na łące jedn. k leżał śnieg niezamarzły jeszcze, sypki świeżo nawiany i głęboki, w którym konie zapadały wyżej kolan; musieli więc posuwać się zwolna. Nagle doszło ich szczekanie psa, wprost zaś przed nimi zamajaczył gruby i garbaty pień wierzby, nad którym połyskiwała w świetle księżyca korona bezlistnych prętów.

— Tamci są dalej, — rzekł przewodnik. w pobliżu olszniaka; ale i tu coś musi być.

— Jest zaspa pod wierzbą. Poświećcie!

Kilku ludzi książęcych zsiadło z koni i poczęło świecić pochodniami, poczem zaraz jeden zawołał:

— Człowiek pod śniegiem! Widać głowę, ot tu!

— Jest i koń! — zawołał zaraz drugi.

— Odkopać!

Łopaty poczęły zanurzać się w śnieg i odrzucać go na obie strony.

Po chwili ujrzano siedzącą pod drzewem postać ludzką, ze schyloną na piersi głową i czapką głęboko zasuniętą na twarz. Jedna ręka trzymała lejce konia który leżał obok z nozdrzami zarytemi w śnieg. Widocznie człowiek odjechał od orszaku, może dlatego, by dostać się prędzej do mieszkań ludzkich i sprowadzić pomoc, a gdy koń mu padł, wówczas schronił się pod wierzbę po stronie przeciwnej od wiatru — i tam skrzepł.

— Poświeć! — zawołał Zbyszko.

Pachołek przysunął pochodnię do twa-

dzaju magazynów w bliskości zabudowań i mieszkań ludzkich.

Ty chłopie płać podatki, patrz co roku jak ci nieuregolowane rzeki zasiewy zaleją, wysyłaj dzieci na zarobek do obcych, bo go u swoich nie ma, oddaj do wojska syna, skąd może ci wrócić kaleką na ciele lub na duszy, a nie śpij jeszcze spokojnie, bo — prochownia może wybuchnąć i zabrać resztkę dobytku, zniszczyć chałupę, a ciebie błyskawicznym pociągiem wysłać na drugi świat, lub do pracy uczynić niezdolnym.

Siedzimy więc na dwu wulkanach równoczeście, z jednej strony grożą ciągle naszemu bytowi moralnemu wybuchy żywiołów napływowych, od których się obronić sami nie jesteśmy w stanie, z drugiej strony wybuchy zbyt bliskiego sąsiedztwa środków do obrony ojczyzny służących, które kosztują miliony, a co kilka lat jako przestarzałe wołają o nowe ofiary pieniężne, jeżeli w międzyczasie nie zabiorą ofiar z naszego dobytku i życia.

Stach J.

Sprawy ludowe.

Pieniactwo. Już to na brak klęsk, ani na brak biedy u nas nie możemy się skarżyć, bo czego, jak czego, ale tych rzeczy to mamy obfitość. Warto się jednak zastanowić czy do tej biedy my sami się nie przyczyniamy. Może trochę brak u nas oszczędności, trochę brak przemysłowości, a jest trochę niedbalstwa, ale jest jeszcze coś, co wprawdzie nie wszystkich, ale wielu podcina, a niejednego już w nędzę popchnęło, to jest pasya prawowania się, włóczenia po sądach, skarżenia i napychania kieszeni adwokackich, — czyli jednym słowem pieniactwo.

Ileż to nieraz z błahego powodu kosztów, placenia stempli, jeżdżenia do oddalonego często sądu, opłacania adwokatów i tam dalej, a ile straty czasu i obrazy Boskiej! — tegoby i na wołowej skórze nie spisał! Pokłóci się dwoje sąsiadów, a po prawdzie to najczęściej dwie baby, ano, — i zaraz skarga, apelacya, bo oczywiście żadna strona z wyroku nie zadowolona, adwokat, koszta — i o byle głupstwo korowodów, kłopotów, płacenia, cała masa. Czasem i tak bywa, że obie strony trafiwszy na godnego sędziego, który im spór wyperswaduje i do zgody nakłoni, ledwie wyjdą ze sądu pokłócą się ponownie, czasem robią to po rozprawie przeprowadzonej, kiedy jedna strona tryumfuje, że postawiła na swoim, druga czuje się pokrzywdzoną, bo wtedy o powód do wymiany obelg, wyzwisk i rozmaitych propozycyi, mniej lub więcej nieprzyzwoitych, nie trudno, przy obopólnym podnieceniu. Ano! i jest znowu powód do skargi, bo swego przecie nie można „darować".

Toby była dopiero sprawa karnego kodeksu, czyli tak zwane „pyskówki", jest jednak jeszcze kodeks cywilny, który o wiele drożej kosztuje, jest mniej burzliwy, i choć często ze swym bratem się spotyka i dostarcza mu klientów, to jednak sam dłużej, ale zato dokumentniej i głębiej sięga do trzosa po krwawy grosz. Śliczne jest i ze wszech miar pochwały godne przywiązanie naszego ludu do Ziemi-matki, aleć tego przywiązania, im ono jest piękniejsze, tem bardziej nie należy plamić chciwością, albo krzywdą bliźniega. Ale źle zrozumiane przywiązanie prowadzi często do sądu, bo wtedy to nie miłość Ziemi, nie synowskie kochanie, jeno chciwość powoduje ludźmi. Równie piękną rzeczą jest niesienie pomocy bliźniemu radą czy pieniądzmi, ale pieniądz to fatalny wynalazek, który niezliczonych zbrodni był już przyczyną, „potrafi poróżnić rodzeństwo, przyjaciół męża z żoną, więc dobrze się zastanowić należy jak z tym pieniądzem krwawo zapracowanym postąpić i co z nim zrobić, bo pożyczyć jest łatwo, ale odebrać trudno i mozolnie, a ile to potem kosztuje proces, ile czasu i pieniędzy pochłania, to chyba najlepiej wiedzą ci, którzy przez takie tarapaty po różnych instancyach, apelacyach, sądach wyższych, niższych i najwyższych z których sprawa wraca znowu z powrotem i czasami kilkakrotnie tę samą drogę odbywa. Bo to zwykle bywa tak: z powiatowego sądu gdzie się stemple, koszta stawiennictwo, porto i t. d. opłaciło, idzie sprawa do obwodowego i znowu płacenie. Z obwodowego do krajowego, a płacić trzeba znowu, z krajowego do wyższego, potem do najwyższego, a po opłaceniu tego wszystkiego wraca znowu do powiatowego i zaczyna się od początku i wędrówka i płacenie.

Po części winni temu i panowie adwokaci, ale im się dziwić nie można, że ludzi do procesów nakłaniają, boć z tego żyją, czasami jednak nieuczciwy doradca prawny, namawia do procesu z góry wiedząc że sprawa jest nie do wygrania, przewłóczy go, i naraża klienta bez żadnej potrzeby na coraz nowe, a coraz grubsze koszta. Toteż panowie mecenasi zostawiają po sobie kamienice i dziesiątki tysięcy guldenów, lub przynajmniej koron, a chłop stary korzuch parę obłużonych morgów ziemi i zaniedbane gospodarstwo, którego nie miał czasu, pieniając się, — dopilnować.

Naszemu, z gruntu dobremu, jeno trochę upartemu i ambitnemu, ale nie zawsze w dobrym znaczeniu ambitnemu chłopu, zdałoby się trochę więcej zimnej krwi i rozwagi, trochę więcej poczucia obowiązków, nie tylko wobec siebie, ale i wobec społeczeństwa, a przedewszystkiem mniej zapalności do procesów, skarg i sądu.

Stach Jendl.

---

rzy zmarzłego, ale rysów trudno było zrazu rozeznać. Dopiero, gdy drugi pachoł uniósł pochyloną głowę do góry, ze wszystkich piersi wyrwał się jeden okrzyk:

— Pan ze Spychowa!

Zbyszko kazał go porwać dwom ludziom i ratować w najbliższej chacie, sam zaś, nie tracąc chwili, skoczył wraz z pozostałą służbą i przewodnikiem na ratunek reszty orszaku. Po drodze myślał, że tam znajdzie Danuśkę, żonę swoją, może nieżywą — i wypierał ostatni dech z konia, który buchał się w śniegu po piersi. Szczęściem, nie było już daleko — najwyżej kilka stajań. Z ciemności ozwały się głosy: „Bywaj!" — ludzi, którzy poprzednio zostali przy zasypanych. Zbyszko dopadł i zeskoczył z konia:

— Do łopat!

Dwoje sani było już odkopanych przez tych, którzy pozostali na straży. Konie i ludzie w nich zmarzli bez ratunku. Gdzie są inne zaprzęgi, można było poznać po pagórkach śnieżnych, chociaż nie wszystkie sanie były całkiem pokryte. Przy niektórych widać było konie, brzuchami wsparte o zaspy, rwące się jakby do biegu, zakrzepłe w ostatnim wysileniu. Przed jedną parą stał człowiek z dzidą w ręku, zanurzony po pas w śniegu, nieruchomy jak słup; w dalszych pachołkowie umarli przy koniach, trzymając je przy pysku. Śmierć ich zaskoczyła widocznie w chwili gdy chcieli wydobywać konie ze śnieżystych kawałów. Jeden zaprząg na samym końcu orszaku całkiem był nieprzysypany. Woźnica siedział skulony na przedzie z rękoma przy uszach, zaś w tyle leżało dwóch ludzi: długie rzuty śniegowe, nawiane wpoprzek ich piersi, łączyły się z zaspą, leżącą obok i przykrywały ich jak pościel, a oni zdawali się spać cicho i spokojnie. Lecz inni poginęli, walcząc do ostatka z zawieją, albowiem skrzepli w postawach pełnych wysilenia. Kilka sań było wywróconych; u niektórych połamane dyszle. Łopaty odkrywały co chwila grzbiety końskie, wyprężone jak łuki, lub łby wbite zębami w śnieg, ludzi w saniach i obok sań — lecz na żadnych nie znaleziono niewiast. Zbyszko chwilami pracował łopatą, aż pot zlewał mu czoło; chwilami świecił w oczy trupom, z bijącym sercem, czy nie ujrzy między nimi kochanej twarzy — wszystko napróżno! Płomień oświecał tylko groźne wąsate twarze Spychowskich zabijaków — ni Danusi, ni żadnej innej niewiasty nie było nigdzie.

— Co to jest? — pytał się siebie ze zdumieniem młody rycerz.

I wołał na ludzi pracujących opodal, pytając, czy czego nie odkryli; lecz ci odkrywali samych mężów. Wreszcie robota była skończona. Pachołkowie pozaprzęgali do sani własne konie, i siadłszy na kozły, ruszyli z trupami ku Niedzborzu, by tam w ciepłym dworze próbować jeszcze, czyli którego ze zmarłych nie będzie można przywrócić do życia. Zbyszko z Czechem i dwoma ludźmi pozostał. Na myśl mu przyszło, że może sanie z Danusią odłączyły się od orszaku, może Jurand, jeśli jak należało się spodziewać, zaprzężone były w konie najlepsze, kazał im jechać naprzód, a może zostawił je gdzie przy chacie po drodze. Zbyszko sam niewiedział co ma począć w każdym razie chciał przepatrzyć publiczkie zaspy olszniak, a potem nawrócić i szukać po gościńcu.

(C. d. n.).

Krakowska Rada powiatowa Wybory do Rady powiatowej Krakowskiej z kuryi włościańskiej czyli mniejszych posiadłości, odbyły się d. 11 czerwca. Zainteresowanie się wyborami było niezmiernie wielkie. Prawie wszysoy wyborcy stawili się w dniu na wybory wyznaczonym. Już wczesnym rankiem d. 11 czerwca zjechali się wyborcy do Krakowa, a łącząc się w grupy po kilku, kilkunastu i kilkudziesięciu naradzali się i rozprawiawiali żywo o kandydatach na radnych powiatowych. Gorączka wyborcza z każdą minutą obejmowała nawet najspokojniejszych wyborców. Ludowcy wśród grupujących się włościan rozwinęli szaloną agitacyę, by dawnych radnych a przedewszystkiem Jarzynę, Ptaka i Wójcika wprowadzić na nowo do Rady powiatowej,

Orządała z Czułowa, znany krzykacz, niestety tylko ze złej strony, rzucał się jak opętaniec, ale jego bezwstydne napaści na uczciwych ludzi, zamiast pomocy tylko szkodę ludowcom przyniosły. Punkt godz. 10-ta rozpoczęły się wybory. Już przy wyborze komisyi można było przewidzieć smutny wynik dla Jarzyny, Ptaka i Wójcika, którzy całą nadzieję zwycięstwa pokładali w rozbiciu się ich przeciwników, bo było aż 30tu kandydatów postawionych, pomiędzy którymi byli i tacy jak n. p. poseł ks. Szponder, który się o tę godność wcale nie ubiegał!

W sali wyborczej temperatura ogromnie gorąca i naprężona. Aparat agitacyjny pracuje z całym wysiłkiem. Po pierwszem głosowaniu tylko 9 kandydatów uzyskało większość. Jarzyna, posłowie Ptak i Wójcik nie zostali wybrani, Przy drugiem głosowaniu nie otrzymał nikt większości. Twarze Jarzyny, posłów Ptaka i Wójcika pokryte bladością, ale rąbek nadziei jest jeszcze w trzecim głosowaniu, zwłaszcza, że wielu ich przeciwników opuściło salę wyborczą skutkiem późnej pory i odjechało do domu. Nadzieja zwycięstwa wzrosła. A może, a może — teraz się uda wejść z powrotem do utraconego raju!

Niestety! Nie pomogły prośby i błagania, nie pomogła zachęta c. k. komisarza: „głosujcież przecie za Jarzyną, Ptakiem i Wójcikiem“! Nic nie pomogło! Agitacya swoje, a wyborcy swoje. Jarzyna i posłowie Ptak, Wójcik przepadli.

Ponieśli dotkliwą porażkę, ale sami są winni Włościanie dla wybranego i przez siebie zaufaniem obdarzonego włościanina są bez porównania wyrozumialsi i pobłażliwsi jak dla inteligentnika, ale także dopóki się miarka nie przebierze Pozwalali sobie za wiele więc ich słuszna kara spotkała. Z wybranych radców chłopów najwybitniejszy jest Jan Madej z Liszek i na nim też spocznie ciężki i trudny obowiązek bronienia interesu ludu w pow. Krakowskim.

(Jesteśmy pewni, że p. Madej swój obowiązek spełni. Przyp. Red.)

Naoczny świadek M...

Krzywdy i nadużycia.

A gdzie słowo honoru? Na kilka dni przed wyborami do Rady pow. Krakow. niejaki Zberus z Pękowic oświadczył uroczyście i przy świadkach dał słowo honoru, że pójdzie przeciwko liście kandydatów ułożonej przez Jarzynę, Ptaka i Wójcika i pociągnie za sobą wszystkich swoich znajomych wyborców i poplecników, byle jego wziąć na listę przeciwną.

Mimo ostrzeżeń że człowiek to niepewny przeważyły zdania, że Zberus, skoro dał słowo honoru, trzeba mu wierzyć i trzeba go na naszej liście umieścić. Niestety **Zberus danego słowa honoru nie dotrzymał i zdradził** swoich sojuszników! Zberus został wybrany radcą powiatowym ale tylko zdradą i za cenę zbyt wysoką, bo utratą własnego honoru. Z przykrością piętnujemy ten fakt bolesny, by zaznaczyć, że honor chłopski wcale nie jest mniejszy od szlacheckiego. P, Zberus powinienby złożyć godność uzyskaną w tak plamiący go sposób i odwołać się do ponownego wyboru, bo wątpimy, czy nowo wybrani radcy powiatowi sami nie zażądają od Zberusa złożenia zdradą uzyskanej godności. Wolelibyśmy, aby oczyszczenie się Zberusa od tego zarzutu zażądali radcy włościanie, jak żeby to mieli uczynić radcy powiatowi, z większej posiadłości.

A. B.
jeden ze świadków.

Kwiat paproci.

Spotkałem go; jak szedł ku lasowi. Na twarzy dzieciaka i w wielkich niebieskich oczach była nie dziecinna zaduma i smutek. Szedł miedzą między falami zbórz zapatrzony w ciemną ścianę lasu, jakby go ten las-harfiarz mimo jego woli przyciągał ku sobie, jakichś zaklęć tajemniczą mocą.

Słonko stanęło sobie, niby spracowany gospodarz na samym szczycie niebieskiego pagórka i rozradowane, uśmiechnięte patrzyło na pola, na łany, na łąki, zaglądało ciekawie przez liście drzew, czy tam nie mag dzie gburowatych grzybów, co to przed nikiem kapelusza nie zdejmują, a słonka się złotego wstydzą. Ot! wesołe było tego dnia słonko, więc mu się figlów chciało. A nie często mu się to tego roku zdarzało, bo patrząc jak się praca ludzka marni, chmurzyło się dobre, poczciwe słonko i ludzie a łąki i pola mało go widziały.

Tem dziwniejszy wydał mi się ten zadumany chłopczyna, w taki cudny dzień, bo dzieci lubią się niby kwiaty cieszyć słonkiem a błękitem.

— Gdzież ty idziesz malcze? — zagadnąłem go. — Popatrzył na mnie temi dziwnemi oczyma, któremi czyste dusze patrzą czasem w niewidzialny świat cudu i zachwytów i nie odrzekł nic. — Położyłem mu rękę na ramieniu i schyliłem się, aby lepiej w te oczy popatrzeć i pytam znowu:

— Do lasu idziesz? — Kiwnął tylko głową na potwierdzenie i znowu się zapatrzył w tajemniczą, mroczną a wonną głębię boru.

— Cóż ty tam będziesz robił? jagód szukał, czy grzybów?

Chłopak potrząsnął znów głową a potem popatrzył mi pilnie, długo w oczy. Wreszcie jakby ten egzamin wypadł dla mnie pomyślnie szepnął jedno tylko słowo:

— Paproci.

Zrozumiałem. Chłopczysko się osłuchało o czarodziejskim, paprotnym kwiecie, co raz w rok tylko tajemniczą nocką Janową rozkwita i szło w biały dzień, z dziecięcą ufnością szukać cudo-kwiatu. Przed oczyma stanęła mi własna młodość, kiedy się to wierzy, że na świecie wszystko znaleźć można, kiedy się ufa, kocha i ma — nie nadzieję, ale pewność szczęścia i potęgi. Ale wraz obudził się i ten duch, który „wszystkiemu przeczy“ i mówię:

— Ale paproć tylko w wigilię Świętojańskiej nocy zakwita, dziś nic, prócz liści nie znajdziesz.

Chłopczyna ośmielił się widać tem, że go zrozumiałem, a może odczuł we mnie podobną sobie, również szukającą duszę i odparł poważnie:

— Ja tylko popatrzę gdzie jej najwięcej rośnie, aby potem nocą nie błądzić po próżnicy.

Zaciekawił mnie i bawić począł ten jego poważny ton i pewność siebie. Dzieciak myślał widocznie, a myślał konsekwentnie i logicznie.

— A nacóż tobie kwiat paproci?

Popatrzył na mnie znowu nieufnie i — nic nie odpowiedział. — Hm! myślę sobie, nie tędy droga, więc mu znowu rzekę:

— Bo widzisz, kto znaleźć chce cudo-kwiecie, ten ni lęku znać nie może, ni trwogi, z duchami czarnemi walczyć o nie musi, musi umieć chcieć, musi mieć myśl czystą, serce gorące, a wolę żelazną. — Rozumiesz ty mnie?

A chłopak zrozumiał mnie lepiej nawet niż myślałem:

— Rozumiem. — A ty czemuś nie znalazł?

— Woli Bożej nie było! — odparłem, — ale mi przed oczyma stanęły wszystkie wysiłki i trudy, wszystkie bóle i mozoły, wszystkie męki, wszystkie zdeptane marzenia i zabite uczucia, jakie przeżyłem przy tym szukaniu szczęścia po świecie, po szerokim.—Bom przecież szukał cudu paprotnego kwiecia w sercach ludzkich, w oczach dziewczęcych, w wielkich myślach i czynach i — nie nalazłem go. Bom w sercach znajdował chwasty, w oczach kłamstwo i fałsz, a w myślach i czynach nieszczerość, lub własny interes. Aż mi siwizna jęła brodę bielić, a ja straciłem wiarę w paprotny kwiat szczęścia, straciłem wiarę w ludzi, we własne życie i przyszłość, aż pogrzebałem marzenia młodzieńcze i zostałem niby to drzewo, gdy z niego liście — wiatr jesienny strąci. — Więc żal mi wielki zalał serce za straconą młodością i życiem, i tem życzliwiej, tem serdeczniej patrzeć jąłem na to pacholę, co mi dawne czasy przypomniało.

— A jeżeli ty znajdziesz,—co z nim zrobisz? spytałem idąc obok niego ku coraz bliższemu lasowi, — który na powitanie posyłał nam żywiczne, tęgie wonie rozgrzanego południem igliwia. Chłopak musiał już znać odpowiedź na to pytanie i sam sobie już na nie odpowiedział pewnie, bo nagle w smutnych oczach roztlły mu się blaski radości, opalona twarz zarumieniła się i zapłonęła, jakby mu z serca buchnął żywy płomień. Jakaś ogromna świeżość i tężyzna młodości rozpromieniła się w nim gdy mówił:

— Co zrobię? — za pazuchę go wsadzę, skarby nim podziemne odkryję, rozum zdobędę, a potem pójdę ode wsi do wsi, od chałupy do chałupy, biedę żenąć precz, płaczącym łzy ocierać, strapionych

pocieszać, słabych krzepić, chorych uzdrawiać! Aniby powodzi nie było, ani gradu, ani posuchy, ni głodu, ni troski, ni niedoli, jeno radość, swoboda a szczęście! Bobym tym kwiatem mocny był to wszystko uczynić, więcbym ludziom i polom i łąkom dawał szczęście, jako to słonko promienne....!

Głos mu się złamał ze wzruszenia, a mnie prócz zdumienia chwyciła wielka cześć dla tego chłopaka opalonego, i coś tam, — gdzieś na dnie duszy drgnęło i szarpać się poczęło i wołać coraz głośniej alem ten głos potłumił i nieszczerze się śmiejąc spytałem:

— A potem byś królem został, w złocie chadzał, zaklętą królewnę poślubił?

Chłopak popatrzył na mnie z bezmiernym zdumieniem i chwilę milczał, aż wreszcie cicho, a bezmiernie serdecznie szepnął:

— Pan Jezus królem mógł być, na krzyż ni na mękę nie iść, a jeno miłość i zbawienie siał.

Las przed nami, las-piastun, stary bard odwiecznych pieśni, rozwarł wrzeciądze pni i przyjął w swoje wonne, chłodnych tajemnic pełne łono. Wrzosy pachły i szpilki sosnowe, a z pni ściekały długie, złociste łzy żywicy, jakby cały las niósł kadzielną ofiarę Chrystusowi nim po cichym „Introibo" przystąpi do świętej mszy żniw.

Ległem zmęczony skwarem na dywan mchów, wrzosów. Chłopczyna pochwaliwszy Pana Boga poszedł dalej szukać paprotnych kęp, aby „po próżnicy nie błądzić", a mnie one stłumione głosy zaczęły krzyczeć w duszy, rumieniec wstydu wywołując na lica. Sumienie obudziło się we mnie i jęło karcić bez miary:

— Coś ty wart, wobec tego prostego, cichego pacholęcia? coś wart ze swoją nauką, wiedzą i doświadczeniem? Otoś chodził po świecie i szukał kwiatu paproci dla siebie samego, dla swojej wygody, dla zadowolenia swoich zmysłów i ambicyi. Jakiś ty mały głupi, marny wobec tego chłopięcia, co nie o sobie myśli, jeno o doli ludzkiej, jeno o uldze w nieszczęściu! Naco ci się zdała wszelka książkowa nauka, kiedy cię ten dzieciak, — mający jeno oczy otwarte i umiejący patrzeć, rozumu uczy, szerokie horyzonty ukazuje, mądrością wielką, Chrystusową poi.

I wielki, serdeczny żal mnie pochwycił za straconym życiem, marzeniem i szczęściem, — a za żalem przyszedł do mnie wstyd, — wstyd palący a gorzki, i łzy mnie dławić poczęły nad własną nędzą moralną i upokorzeniem.

Zachód się rozpłomienił na niebie ogromnym pożarem chmur i zorzy wieczornej, gdym wstał z leśnego podłoża, ale już walka się we mnie skończyła i jeno wielką serdeczną wdzięczność czułem dla tego nieznanego, prostego dziecka wsi, które mi wskazało miejsce kędy cudo-kwiecie paprotne zakwita, co daje szczęście ofiary, poświęceń i miłości.

Stach Jendl.

Z Parlamentu.

Bar. Bienerth był wczoraj na audyencyi u cesarza i między innemi przedłożył dymisyi dra Zaczka.

Cesarz dymisyi nie przyjął.

Następcą wspólnego ministra skarbu Buriana, który z powodu sprawy banku bośniackiego stanowczo ustępuje, ma zostać poseł w Belgradzie hr. Forgach.

Sesya parlamentu potrwa prawdopodobnie do pierwszej połowy lipca.

Jak się zdaje, Izba posłów nie przystąpi dziś jeszcze do dyskusyi budżetowej, albowiem pos. Kalina zgłosił wczoraj zapowiedziany wniosek nagły o konstytucyi bośniackiej; dyskusya rozpocznie się prawdopodobnie jutro. Wczoraj odbyły się dwie konferencye przewodniczących klubów i podczas gdy pierwsza (zabierali w niej głos: Chiari, Sustersicz, Adler, Pergelt, Steinwender, prezydent Pattai i prezydent gabinetu Bienerth) nie doprowadziła do żadnego rezultatu, konferencya druga, zebrana po godz. 9 wieczorem, powzięła uchwały i ustaliła program dyskusyi budżetowej. Zgodzono się na przeprowadzenie jednej dyskusyi generalnej i czterech dyskusyi szczegółowych nad poszczególnemi ministerstwami, z których dwie mają być polityczne, jedna ekonomiczna a jedna, poświęcona ustawie finansowej. Następnie skontyngentowano czas dyskusyi budżetowej i ilość mowców. Postanowiono przeznaczyć na dyskusyę budżetową 76 godzin, na każdego mowcę 9 minut; na Koło polskie przypadnie 21 mowców.

Powszechną uwagę zwrócił komunikat rządu, dotyczący nieprzyjęcia dymisyi ministra Zaczka.

Sprawozdanie wskazuje, że dotąd było w zwyczaju zamykać właściwy budżet małą nadwyżką a dla pojedynczych pozycyi starać się o pokrycie w drodze prowizoryum budżetowego, niektóre zaś pozycye, jak budowę kolei, dróg wodnych i regulacyę rzek, jakotez nadzwyczajne zapotrzebowanie wojskowe wogóle wykluczać od wszelkiego budżetu. Niewłaściwość tego postępowania podniosła komisya już w roku ubiegłym a w roku bieżącym sama dokonała poprawki.

Ostatnie wiadomości ze świata.

Francya. Znowu trzęsienie ziemi podobnie jak zeszłego roku nawiedziło wyspę Sycylię, tak w tym roku narobiło nieobliczalnych szkód w południowej Francyi Ucierpiał port Marsylski i miasto Aix.

W Aix 14/VI o godz. 5.25 rano powtórzyło się trzęsienie ziemi; mieszkańcy w panice opuścili domy.

Miejscowość Vermegnes jest prawie zupełnie zniszczona. Nie pozostał ani jeden cały dom.

Droga z Lambesec do Roques jest popękaua tak, że komunikacyę musiano wstrzymać.

W Roques z pod gruzów wydobywają się jęki.

W Tulonie trzęsienia wyrządziło w arsenale marynarki wielkie szkody. Także kilka okrętów wojennych w porcie doznało uszkodzeń.

Trzęsienie ziemi odczuto we wszystkich częściach okręgu San Remo. Ludność kilku miejscowości przepędziła noc pod gołem niebem w zaimprowizowanych namiotach. Twierdzą, że trzęsienie nie było zbyt silne i wyrządziło szkody.

Dienniki donoszą o strasznych skutkach trzęsienia ziemi w okręgu Aix. Miało zginąć 60 osób, a wiele odnieść rany. Jedna wieś jest prawie zupełnie zniszczoną W kilku miejscowościach budynki zawaliły się. Mieszkańcy są bez dachu i środków żywności. Z pod gruzów wydobyto dotąd 15 zwłok. Wojsko i władze zajęte są akcyą ratunkową. Na miejsce katastrofy wysłano środki żywności, namioty i no-...

Pierwsze oficyalne wiadomości prefektury podają liczbę zabitych w Lambèse na 14 i w St. Caunat 8. St. Reparade 2. Rogues 12, Pelissane 1. We wszystkich tych miejscowościach wiele osób odniosło rany. Szkody znaczne. W Equilly i Avanelle runęły kościoły.

Wczoraj odbył się pogrzeb ofiar trzęsienia ziemi, a to w Roques 13, a w Lambeso 12.

Turcya. Tureccy ambasadorowie poczynili u mocarstw, wykonywujących opiekę nad Kretą, kroki przeciw cofnięciu wojsk, wskazując, że to równałoby się aneksyi wyspy przez Grecyę. Ze strony rosyjskiej tutaj i w Petersburgu dano odpowiedź, że zadośćuczynieniu tureckiemu żądaniu stoją na przeszkodzie zobowiązania mocarstw co do cofnięcia wojsk. Zresztą w kwestyi kreteńskiej toczą się między mocarstwami pertraktacye. Podobne odpowiedzi miały dać także i inne mocarstwa. Dyplomacya, zdaje się, nie obawia się wybuchu wojny; przeważa przekonanie, że poczynione przez turecki sztab generalny przygotowania do demonstracyi floty, dalej stanowisko i kroki Porty, jakoteż głosy prasy mają być tylko naciskiem, aby osiągnąć możliwie dobre rozwiązanie kwestyi kreteńskiej.

Doniesienia dzienników o mobilizacyi przeciw Grecyi i skoncentrowaniu korpusu salonickiego, są nieuzasadnione. Przygotowania wojenne o tyle nastąpiły, że przygotowano plan mobilizacyi i marszu. Jako komendant armii w ewentualnej wojnie z Grecyą wymieniany jest komendant korpusu w Konstantynopolu, Mahmud Muktar basza, syn marszałka Ghazi Muktar baszy, naczelnego wodza w rosyjskiej wojnie w Azyi w r. 1878. Miarodajne dyplomatyczne i wojskowe czynniki sądzą jednakże, że nie przyjdzie do wybuchu wojny. Liczą na to, że wobec siły tureckiej armi i wydanych zarządzeń jakoteż wobec demonstracyi eskadry i rad ze strony mocarstw zarówno Kreta jak i Grecya zachowają się spokojnie.

KRONIKA.

Tryumf wyborczy. Do Rady powiatowej krakowskiej zostali wybrani: Czuber z Zabierzowa, Madej z Liszek, Maczek z Czernichowa, Młodzienowski z Bronowic małych, Mól z Rączny, Sitko z Prądnika czerwonego, Jerczyk z Toń, Wieczorek, Zberus z Pękowic, Zbroja z Krowodrzy, Antoni Wójcik z Morawicy i Maczek.

A zatem udało się szczęśliwie wyrzucić darmozjadów i ludzi nie pożytecznych! Najwyższy czas!

Chłopak, czy dziewczyna? W Erfurcie, niemieckim mieście, niesiono do chrztu dziecko, w otoczeniu ojca i chrzestnych rodziców. W kościele, w czasie przygotowania do obrzędu powstało niespodzianie nieporozumienie między ojcem z jednej

strony, a duchownym i sługą kościelnym z drugiej. Mianowicie ci ostatni utrzymywali, że noworodek jest dziewczyną, przeciwnie zaś ojciec z dwuznacznym uśmiechem twierdził, że dziecko jest chłopakiem. Kościelny wskazywał opornemu księgę, w której zaciągnięty był na ten dzień chrzest dziewczyny (zresztą miało być w tym dniu więcej chrztów). Ale ojciec obstawał dalej przy swoim twierdzeniu, że do chrztu przyniósł chłopaka nie dziewuchę. Nie pomogło nawet przedstawianie kościelnego, że dzieciak ma u poduszki różowe wtążki, a przecież od wieków chłopcy miewają niebieskie. Wreszcie zniecierpliwiony ojciec, któremu koniecznie chciano płeć dziecka odmienić, oświadczył z całą stanowczością kościelnemu: „Jestto moje siedmnaste dziecko, więc może mi pan wierzyć, że chyba dobrze wiem, czy to chłopak, czy dziewczyną“. Na taki dopiero argument proboszcz i kościelny złożyli broń i dziecko ochrzczono bez przeszkody jako chłopaka.

Cudowne niemowlę. Słyszeliście kiedy o dzieciaku, któryby w 10 tym miesiącu swego życia mówił, któryby mając rok bez mylki recytował 5-cioksiąg Mojżesza i historyę stworzenia w wierszach. W 13 miesiącach cały stary testament a w 14 i nowy umiał na pamięć, mając półtora roku znał historyę powszechną, geografię, łacinę i anatomję. A jednak taki bęben istniał rzeczywiście. — Nazywał się Chrystyan Henryk Heineken, urodził się w Lubece 6 lutego 1721 roku, żył tylko 4 lata, ale sławę zostawił po sobie na długo. Król Fryderyk IV. z Danii wezwał to cudowno dziecko w 3-cim roku jego życia wraz z rodzicami i nauczycielem dziecka Christyanem Schöneichem do siebie na dwór, aby poznać uczoność tego cudu natury. Mały Chrystyan był tak słaby fizycznie, że zaledwie mógł chodzić i w owym czasie ssał jeszcze pierś. Umierając zażądał skieletu na którym studyował anatomję, rozprawiał na łożu śmierci o nieśmiertelności duszy i zbawieniu i skonał ze słowami: „Panie Jezu! przyjmij ducha mego“. Historya jego życia jest w pamiętniku jego nauczyciela spisana i uwierzytelniona.

C. k. Dyrekcya kolei komunikuje. Celem zapobieżenia przepełnieniu pociągu pospiesznego Nr. 4 — zaprowadza się na szlaku Lwów—Kraków pociąg pospieszny Nr. 104, który będzie mieć w Krakowie bezpośrednie połączenie do pociągu pospiesznego Nr. 104, kursującego od dnia 1 maja b. r. z Krakowa do Wiednia.

Pociąg Nr. 4 ma służyć w czasie od 15 czerwca do 15 września b. r. wyłącznie dla podróżnych jadących na dalsze przestrzenie: z tego powodu znosi się przy tym pociągu: 1) zatrzymanie w stacyach: Sędziszowie, Ropczycach, Słotwinie, Brzesku i Bochni. 2) wysiadanie w Dębicy, Tarnowie i Podgórzu Płaszowie i wydawanie kart do tych stacyj.

Zatrzymanie w Podgórzu-Płaszowie służyć będzie jedynie dla celów służbowo ruchowych. Pociąg Nr. 104 kursować będzie bezpośrednio za pociągiem Nr. 4 i spełniać dotychczasowe zadanie tego ostatniego.

Pociąg osobowy Nr. 24 będzie odjeżdżać z Rzeszowa i przejeżdżać do Krakowa później, jak obecnie i nie będzie mieć w Tarnowie połączenie do pociągu osobowego Nr. 620 w kierunku do Stróż.

Pociąg Nr. 413 między Krakowem a Wieliczką i pociągi Nr. 466, 467 i 468 między Bierzanowem i Wielibzką odległy bardzo nieznacznym zmianom o których jak o innych szczegółach można się poinformować ze ściennych rozkładów jazdy wywieszonych we wszystkich stacyach tudzież z poprawek do kieszonkowego rozkładu jazdy, które wydawać będą bezpłatnie kasy osobowe podróżnym posiadającym takież rozkłady jazdy na żądania. Z dniem 16 września b. r. wejdzie ponownie w życie rozkład jazdy wydany w dniu 1 maja b. r.

Baczność z „gorzają“! W Peszcie zdarzył się niezmiarnie ciekawy a przytem okropnie straszny wypadek. Mianowicie w 48 godzin zmarło pięć osób w tak szczególnych okolicznościach, że wkroczyć musiał urzędownie fizyk miejski, który też zrobił doniesienie do policyi, — która zarządziła urzędowną obdukcyę zwłok pięciu trupów.

Dochodzenia wykazały, że wszystkie te pięć osób zmarły wskutek zatrucia wódką. Wyszło też w dalszej części policyjnego śledztwa na jaw, że wszyscy ci ludzie, pochodzący z ludu kupowali wódkę w szynku Jakóba Grünfelda i w krótkim czasie po wypiciu trunku doznali objawów silnej choroby, a w kilka minut skończyli życie.

Sklep Grünfelda policyjnie zamknięto i wdrożono surowe śledztwo.

Baczność z „gorzałą“!

Cudowny lekarz. Do Krakowa przybył niedawno z Zawiercia młody mężczyzna, używający nazwiska Władysław Wroński i podający się za buchaltera. Wkrótce rozeszły się wieści, że młody człowiek jest cudownym lekarzem i posiada znakomite pigułki, leczące wszelkie choroby. Kto rozpuszczał wieści, niewiadomo; osiągnęły one niezwykły skutek. Do mieszkania Wrońskiego zgłaszali się chorzy po pigułki. „Lekarz“ przyjmował chorych w mieszkaniu swem w Prądniku Czerwonym dziwiąc się, że go nachodzą, kiedy on wszystkich leczyć nie może, bo lekarstwo, aż z Dalmacyi pochodzące, jest bardzo drogie. Naturalnie ludzie tem więcej pragnęli pigułek. Wroński ostatecznie dawał się ubłagać, badał chorego i oświadczał, że ma jeszcze parę pigułek, ale jedna kosztuje 5 koron. W ten sposób wyłudził od jednego z chorych przeszło 60 koron. Cudowne pigułki dostały się w ręce władzy; zarządzono ich zbadanie przekonano się, że jest niewinny lek czyszczący, wartości kilku halerzy. Oszusta aresztowano; zapewne osoby, które doznawały szkody, zechcą się zgłosić do dyrekcyi policyi i podać bliższe szczegóły oszustwa.

Pytaczka. W patalogii psychiatrycznej jest osobna choroba, wystudyowana przez lekarzy, choroba nazwana „pytaczka“, a polegająca na tem, że chory ciągle się wszystkich pyta o cobądź. Jeżeli się spotka ze znajomym, to zaraz zapytuje go skąd on idzie i dokąd, co robi i co zamyśla robić, jak się ma i t. p. Najbardziej na tę pytaczkę chorują żydzi, którzy nawet na pytania zadawane im odpowiadają im pytaniami. Zwraca na to uwagę w osobnej rozprawie p. Józef Ehrlich, inspektor imigracyjny w Filadelfii i cytuje na poparcie swojego twierdzenia rozmowy, prowadzone z wychodźcami żydowskimi, w chwili gdy stosownie do praw amerykańskich zadaje im po wyladowaniu przepisane pytania. Oto urywek jednej takiej rozmowy:

Inspektor: — Jak się nazywacie?

Wychodźca: — Kto? ja-a a?

— Tak, wy.

— Wołają na mnie „Mosiek“.

— A jak nazwisko wasze?

— Nazwisko moje? Jakto? Nazywam się Mosiek Kaplan.

— Czy byliście już kiedyś w Ameryce?

— Naco? Obym i teraz nie był.

— Do kogo jedziecie?

— Do kogo mam jeździć? Jadę do Boga.

— Czy macie jakich krewnych w Ameryce?

— Naco mi krewni? Jestem przecież krawcem i z boską pomocą będę miał powodzenie.

— Czy macie trochę pieniędzy?

— Naco mi pieniądze? Wszak pojechałem do Ameryki!

— Czy macie w Rosyi żonę, dzieci?

— Jakto? albo co? Czy słyszał kto coś podobnego?

— Czy umiecie czytać i pisać?

— Naco ja mam umieć czytać i pisać?

— Czy umiecie czytać na książce do nabożeństwa? modlić się?

— Który to żyd nie umie modlić się?... Takze mi pytanie!

Odpowiedzi Redakcyi.

Talarczyk. Prenumeratę za cały rok otrzymaliśmy.

W. Filar. Prenumeratę za pół roku otrzymaliśmy.

W. Kostyna. Prenumeratę za pół roku otrzymaliśmy.

M. Uryć. Prenumeratę za cały rok otrzymaliśmy.

B. Sarmat. Prenumeratę za pół roku otrzymaliśmy.



Wydawca i Red. odpowiedzialny: Ks. Andrzej Szponder. Drukiem W. Poturalskiego w Podgórzu.